

*** A Distributed Proofreaders Canada eBook ***

This ebook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the ebook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the ebook. If either of these conditions applies, please check with an FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. **If the book is under copyright in your country, do not download or redistribute this file.**

Title: Miłosierdzie gminy

Date of first publication: 1908

Author: Maria Konopnicka (1842-1910)

Date first posted: May 30, 2013

Date last updated: May 30, 2013

Distributed Proofreaders Canada eBook #20130533

This ebook was produced by: David T. Jones, Wojtek Murawski, Michal Jablonski & the online Distributed Proofreaders Canada team at <http://www.pgdpCanada.net>

(This project created from scans generously provided by the Polona National Digital Library at <http://www.polona.pl/dlibra>)

MARYA KONOPNICKA



MIŁOSIERDZIE GMINY

Kartka z Hottingen



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Dziewiąta dochodzi na zegarze gminy^[1]. Przez lekką mgłę poranną przebijają ciemniejsze lazurowe głębie, zapowiadając cudowną i cichą pogodę.

Przed kancelaryą snują się gromadki, oczekując przybycia pana radcy Storcha, którego szary filcowy kapelusz i laskę ze srebrną gałką widać przed blizką kawiarnią Gehra, u stolika pana sędziego pokoju, czytającego tu przy cienkiej kawie swój poranny dziennik.

Pan radca może przybyć lada chwila; tak przynajmniej sądzi woźny, stojący w półurzędowej postawie na ganku kancelaryi i odpowiadający na pozdrowienia przechodniów przytknięciem dwu palców do granatowej, z białą wypustką, czapki.

Od strony kawiarni Gehra dolatują rzeźkie głosy obu rozmawiających panów. Pan radca zatrzymał się tylko na chwilę, nie siada nawet, ale rozmowa z panem sędzią bawi go widać, gdyż słyhać od czasu do czasu jego śmiech swobodny, wesoły, któremu odpowiada krótkim naszczekiwaniami pyszny brunatny ceter^[2], w postawie sfinksa^[3] u stolika leżący.

Tymczasem ludzie przed kancelaryę przychodzą, pozdrawiają się wzajem i stają, gawędząc niedbale. Niektórzy idą wprost do kancelaryi, inni przysiadają na kamiennych, połączonych luźnym łańcuchem słupkach, które niewielki,

zwirem wysypyany plac przed gmachem od ulicy dzielą; jeszcze inni, zadarłszy głowy, przypatrują się samemu gmachowi. Jest nowy. Stanął wszakże na miejscu, dawno zadrzewionem, z którego mu pozostawiono dwa szeroko rozrosłe, o łupiącej się delikatnej korze platany^[4], których żywą zielen jesiennie słońce złościć już nieco zaczęło.

Sam gmach prosty, szary, kwadratowy niemal, ma na płaskim dachu niską żelazną balustradę o złożonych gąłkach, a na fasadzie^[5] cztery pilastry^[6] i pamiątkową tablicę z napisem. Napis ten, błyszczący wesoło złożeniem swych liter, przyciąga oczy ludzkie. Każdy prawie z przybyłych podnosi głowę i odczytuje go z powagą. Alboż nie ma prawa? Wszak każdy na wzniesienie kancelaryi dał swoje trzy grosze, a dom jest wspólną własnością i wspólnem dziełem gminy. Niemniej przyciąga oczy zegar, umieszczony w samym ostrzu trójkąta, opierającego się podstawą o płaskie kapitele^[7] pilastrów, tylko, że wskazówki jego zdają się dziś wolniej jakoś poruszać po okrągłej i błyszczącej tarczy. Tak przynajmniej mniema właściciel blizkiej piwiarni, który co chwila dobywa swoją wielką srebrną cebulę, konfrontując^[8] ją z zegarem gminy! Miły Boże, po co się człowiek ma śpieszyć. Czas i tak leci.

Już tylko parę minut brakuje do dziewiątej; gromadki zaczynają się ściągać przed sam ganek kancelaryi, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Niema w tem zebraniu nic uroczystego: jak kto przy robocie stał, tak przyszedł. Zwyczajnie, za interesem.

Codzienne »joppy«^[9] szarzeją się na grzbietach; rzeźnik Wallauer przyszedł w różowym, dymkowym^[10] kaftanie, Jan Blanc, rymarz z Höschli, w zielonym kitajkowym fartuchu, spiętym na mosiężną haftę z łańcuszkiem; wielu, mimo rannego chłodu, stawilo się na zebranie w kamizelkach tylko; wdowa Knaus, jak szła z targu, tak wstąpiła z koszykiem ogrodowizny i z nową szczotką pod pachą. A cóż? Wszak tu wszyscy swoi.

Nareszcie na kwadratowej wieżycy Nowego Münsteru zaczynają bić kwadrans, a jednocześnie daje się słyszeć radosne szczekanie wyżła, biegnącego u nóg pana radcy. Wyprzedza go, wraca, znowu go wyprzedza, znów w paru susach wraca, aż weszli razem w wybornych humorach w otwarte drzwi kancelaryi. Zaraz za nimi zaczynają wchodzić czekające przed gmachem gromadki.

Wchodzą i w sieniach już dzielą się na dwie partye: ciekawych i interesowanych. Interesowani przepychają się zbitym szeregiem do żółtych, drewnianych balasków^[11], dzielących salę na część urzędową i nieurzędową; ciekawi idą wolniej i obsiadają ławki, biegnące dokoła pod ścianą.

Nie jest to rozdział stanowczy.

To z jednej, to z drugiej strony co i raz miano sobie coś do powiedzenia; czasem też który z ciekawych uczuwał się nagle interesowanym i u balasków miejsca sobie szukał. Człowiek może się namyśleć i w ostatniej chwili.

Interesowanych jest mniej; ci mają ważniejsze stanowisko w sali. Jest tu powroźnik Sprüngli, który się niedawno z wdową ożenił i warsztat chciał rozwinąć; jest Kägi Tobjasz, właściciel piwiarni »Pod zieloną różą«; jest piekarz Lorche; jest oberżysta z Mainau; jest Dödöli, właściciel winnicy; jest Wetlinger Urban, słodownik; jest Tödi Mayer, ślusarz; jest kotlarz Kissling; jest ogrodnik Dörfli; jest stolarz Leu Peter i kilku innych jeszcze.

Każdy z nich potrzebuje posługi to w warsztacie, to w domu, to w roli. Każdy też woli, że mu to taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził. Porozpierali się u balasków i gwarzą z cicha. Wdowa Knaus także się między nimi rozparła. Od czasu, jak się syn ożenił, na imie Boskie niema się kim w domu pchnąć^[12]. Jest przytem miłosiernego serca i chętnieby biedotę jaką wzięła, żeby tylko posługę z tego niezgorszą mieć można. No, i żeby dopłata niebardzo marną była. Nie może przecie niedołągi darmo do domu brać. Gmina zresztą ma fundusze na to, żeby za biedaków, co już robić nie mogą, płaciła.

Żebrać przecież nie pójda, nie wolno. Czy tylko będzie w czem wybrać?... Pod jesień słabnie to, jak muchy. Wolalaby babę... Phi! weźmie i dziada, jak baby nie będzie. Aby od biedy, aby od biedy! A czy to mało tej hołoty w gminie? Tygodnia niema, żeby do kancelaryi nie ściągnęła jaka mizerota, której się zdaje, że już nie poradzi robocie. Nieprawda! Takiego dobrze docisnąć, to i za młodego obstanie od nagłego razu. A i to błogie, co tam gmina doda. Nie

raz, nie dwa, jeszcze taki swego nie przeje, a już go śmierć ściśnie. Hoppingerom się trzydzieści franków po starej Reguli zostało, co ją na wiosnę z kancelaryi wzięli. A Egli? Egli więcej, niż w parobka, w Aloisa orał, a jeszcze połowy zapomogi nie wydał, kiedy stary zipnął^[13]. Pan Bóg miłosierny niczyjej krzywdy nie chce!

Tu wdowa wzdycha, a czarny kamlotowy^[14] kaftan podnosi się z szelestem na jej szerokich piersiach.

Ale jeden i drugi ogląda się ku drzwiom. Czemu nie przyszedł Probst? Spodziewano się, że pierwszy do licytacji stanie, a jego dotąd niema.

Ucicha nareszcie w sali, a pan radca podnosi głowę od biurka, przy którym stojąc, czytał papier jakiś.

Jest to młody jeszcze, przystojny i okazały szatyn, którego niewielka łysina niemal że nie szpeci wcale. Twarz ma mięsistą, okrągłą, wąs rudawy, spojrzenie otwarte, jasne. Ubrany z pewnym wykwintem, u szwajcarskich urzędników niezwykłym. Szczególniej uderza śnieżny gors u koszuli, na którym błyszczą drobne złote spinki. Podniósłszy głowę, pan radca oczy mruży i z nad złotych okularów po obecnych patrzy. W tej chwili właśnie woźny drzwi zamyka. Zdaje się, że już nikt więcej nie przyjdzie.

— No, moi panowie — odzywa się pan radca, przeciągając palcem tłustej białej ręki pomiędzy przyciasnym kołnierzykiem a pełną, nieco nabrzmiałą szyją — No, moi panowie, mamy dziś, jak wiecie, posiedzenie sekcji^[15] dobroczynności w gminie. Czy tak?

— Tak, tak! — odzywa się kilka głosów w sali.

— A więc, moi panowie — dodaje radca, zapuszczając palec między kołnierzyk a kark, kładący się na nim fałdą tłustej skóry — a więc możemy zaczynać!

— Tak, tak! — odzywają się ponownie głosy. Ale pan radca, świeży urzędnik z wyborów, nie lubi tracić sposobności do małych przemówień, któreby gruntowały popularność^[16] jego. Chrząka tedy i, oparłszy obie dłonie na pulpicie^[17] swego biurka, tak rzecze:

— Wiadomo panom, jak opiekuńcze są ustawy gminy. Wiadomo panom, że gmina nie dozwala cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich. Ociera łzy, odziewa nagich, karmi głodnych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera.

Tu czując, że mu się ten frazes^[18] udał, robi krótką, lecz znaczącą pauzę. Obejmuje potem oczyma obecnych i tak mówi dalej:

— Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia; są one nie tylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Tak jest, panowie, one są naszą chlubą! Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie. Jest to powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tem prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarzy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocene starce!

Tu pan radca dziwi się, że mu tak dobrze idzie, i znów robi pauzę. Żal mu poprostu, że słucha go tak mała garstka ludzi. Taka mowa, wypowiedziana na jakimkolwiek dużem zebraniu, zrobiłaby mu imię. Zaczem z wysoka rzuca okiem na salę i tak kończy:

— Tak jest, moi panowie! Gmina przygarnia ich i, godząc rozsądną rachubę z porywami serca, mówi: starzec ten, nędzarz ten, ten kaleka nie może już wyżyć ze swej pracy. Owszem, nie może już pracować. Nie ma on rodziny, któraby go żywić mogła, lub też ma rodzinę biedną, której praca ledwo starczy, by głodu nie zaznać. Mamże go puścić, by się włóczył po drogach, jako wstrętny żebrak? Nigdy!

Potrząsa głową energicznie, i podnosząc głos, mówi:

— Woźny, wprowadź kandydata!

Woźny przechodzi szerokim krokiem salę i znika we drzwiach bocznych, do małej komórki, służącej niekiedy za

kozę, wiodących; między zebranymi szerzą się półgłosne szmery, a pan radca stoi z podniesioną ręką, żeby nie wychodzić z pozy. Upływa krótka chwila. Nagle w drzwiach bocznych ukazuje się naprzód głowa, dygocąca na cienkiej, wychudłej szyi, potem kolana, ku przodowi zgięte, potem stopy, resztką obuwia ozute, potem ręce zgrabiałe i drżące, które się uszaków^[19] drzwi z obu stron chwytają, żeby dopomódz nogom przez próg, a wreszcie grzbiet, w pałąk zgięty. Jest to Kuntz Wunderli, stary tragarz, którego wszyscy znają.

W sali zapanowyywa szmer głośniejszy nieco.

To kandydat?... Na miłosierdzie Boskie, cóż to za kandydat? Któż to weźmie do siebie takiego trupa? Co za pomoc z tego komu? Co za wyręka? No, no! Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie tego próchna! A toć to skóra i kości! Nic więcej!

Niezadowolenie się wzmagą. Są tacy, którzy odrazu sięgają po czapki i od balasków odchodzą.

Ale pan radca na szmery te nie zważa i, zaledwie Kuntz Wunderli ukazał się we drzwiach, tak mowę swą kończy:

— Tak jest, moi panowie! Piękne nasze ustawy wygnały z ziemi naszej żebranię, a wprowadziły do niej miłosierdzie. Niema już opuszczonych! Niema już nędzarzy! Gmina jest ich matką, gmina jest ich żywicielką. Oto jest starzec niezdolny do pracy. Kto z panów chce go wziąć do siebie? Niejedną posługę mieć można jeszcze z niego. Gmina nie wymaga, by jej członkowie czynili to darmo. Gmina gotowa jest, podług ustaw swoich, przyczynić się do utrzymania starca. Kandydacie, przybliź się! Panowie, przypatrzcie się kandydatowi!

Sklonił głowę i, dobywszy fular^[20], otarł nim czoło. Łatwo się pocił, a w sali stawało się gorąco.

Tymczasem Kuntz Wunderli, popchnięty nieco z tyłu przez woźnego, wydobywa się szczęśliwie ze drzwi i przy progu staje. Pełne światło z otwartego na obszerną łakę okna pada teraz na jego zgarbioną i znędniałą postać. Stoi tak przez chwilę, mnąc w rękę stary pilśniowy kapelusz, a chude kolana drżą mu coraz silniej. Jest wzruszony. Nagle prostuje się, podnosi głowę i z uśmiechem na obecnych patrzy. Uśmiech ma zachęcający, wesoły prawie. Kuntz Wunderli nie wie, kto będzie panem jego. Uśmiecha się tedy do wszystkich i rażno mruga oczyma. Oczy te są zimne, osłupiałe i stroskane. Stary Kuntz usiłuje im wszakże nadać filuterny^[21], niemal lekkomyślny wyraz. Gdy mu się jedno zmęczy i staje w ciemnym swoim dole nieruchome, martwe, mruga drugim, jakgdyby chciał mówić: Jeszczem ja mocny! O, i jaki mocny! Chleba darmo nie zjem, pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody przyniosę, i drew ułupię, i kartofli naskrobię, i izbę zamiotę... Dużą siłę mam jeszcze... dużą siłę...

A gdy tak patrzy z wysiłkiem, stara jego głowa coraz silniej trząść się zaczyna, oczy nieruchomieją i zachodzą wielkimi łzami, a ręce szukają podpory. Jedne tylko wążkie i zapadłe usta uśmiechają się, ciągle się uśmiechają, wtedy nawet, kiedy dwie łzy ciężkie i zimne toczą się zwolna po zmiętej i zbrózdzonej twarzy.

Ten, to ów zaczyna mu się przyglądać. Istotnie. Stary wygląda wcale jeszcze dobrze. Dziś rano ogolił się właśnie; woźny pożyczył mu brzytwy. Leży to w interesie gminy, żeby taki kandydat jak najlepiej i jak najraźniej się przedstawiał. Inaczej mógłby nie znaleźć wcale amatora. Nie tylko więc woźny pożyczył mu brzytwy, ale starego kubraka i niebieskiej chustki na szyję, które po licytacji znów sobie odbierze. Stary Kuntz umie to cenić. Wie on, jakie pobudki miała gmina w tak łaskawie udzielonej mu pomocy, i radby przedewszystkiem uwydatnić te piękne szczegóły swojego ubrania. Ale rękawy kubraka są na niego przydługie; sam kubrak, zbyt obszerny, wisi na nim raczej, niżli go odziewa, a bujny niebieski bawełniany fontaż^[22] dziwnie się sprzecza z jego wyschlą, pomarszczoną w tysiące szwów szyją, którą Kuntz to wyciąga, to chowa, nie wiedząc, jak lepiej przedstawi się chustka. Właściwie mówiąc, jest w trudnem położeniu.

Trzeba mu i litość wzbudzić, i nie okazać się zbyt niedołężnym. Wie on, że stoi tu w charakterze starca, nie mogącego pracować, ale wie także, iż każdy z tych, co tu przyszedł, na ręce jego patrzy, czy się roboty chwycą. Gmina ma nad nim miłosierdzie, prawda; ale zbyt wiele dopłacać za niego nie zechce. On to wie, wie dobrze; zbyt wiele wymagać nie może... Zmieszany, wzruszony, patrzy ludziom po oczach, miarkując, co który myśli; na woźnego też rzuca

w bok krótkie spojrzenia, jakby dla upewnienia go, że ani brzytwa, ani kubrak, ani chustka nie pójdą na marne.

Ludzie patrzą na starego i gawędzą głośno. Nie leży to w interesie żadnego z nich, żeby okazywać zbyteczny pośpiech. Staliby tak do południa może, porozpierani na balaskach i biorący tabakę, ale pan radca nie lubi przewlekłych posiedzeń.

— No, moi panowie — odzywa się on głośno. — Czy przypatrzyliście się kandydatowi?

— A cóż mu się tam przypatrywać — odpowiada po małym milczeniu Kissling. — Toć my go codzień widzimy.

Stary ledwo dycha, nie uciągnie, nie dźwignie... Jak myślicie, szwagrze — zwrócił się do Faustyna Tröndi — będzie miał z ośmdziesiąt, albo i więcej?

Stary chrząknął. Ośmdziesiąt dwa skończył, ośmdziesiąt dwa... Ale uśmiecha się tylko i milczy...

— Ile macie lat, stary? — pyta go Tödi-Mayer.

Kuntz szybko mruga ku woźnemu okiem, a potem mówi:

— Siedmdziesiąt i cztery, kochanku! Siedmdziesiąt i cztery!

— A pokaż-no, stary, zęby? — odzywa się oberżysta z Mainau.

Kuntz znów rzuca szybkie spojrzenie na woźnego i, rozszerzywszy zeschłe wargi, ukazuje wcale jeszcze zdrowe zęby.

Publika zaczyna się śmiać.

— Ho! ho! — mówi jeden — a toby i kość ugryzł.

— Chleba się nie złęknie! — dodaje drugi.

Leu Peter, stolarz, przychyła się ku niemu.

— A machnij-no, stary, pięścią! Dalej!

Wunderli postępuje krok naprzód, podnosi nieco głowę, prostuje grzbiet i macha kilka razy ręką, której ściśnięta pięść ginie w długim rękawie pożyczonego kubraka. Ręka opada mu za każdym razem, jak złamana gałąź. W stawach słychać trzask przykry.

— A co? Nieźle macha! — odzywa się ktoś z ławy.

— Phi!... — dodaje pesymistycznie^[23] drugi, wiedząc, że uwagi galeryi^[24] nigdy nie są dla interesowanych stracone.

— A jakże nogi? — pyta znów Tödi-Mayer, który widocznie na Kuntza ma ochotę. — Maszerujno, stary!

Ale stary miesza się widocznie. Nogi to właśnie najsłabsza jego strona. Ba! gdyby nie nogi!... I nawet nie tyle nogi, co kolana... Na samą myśl o wyprostowaniu już mu w nich coś strzyka... Ale Kuntz Wunderli nie zawiedzie gminy. Z najwyższym wysiłkiem unosi jedną stopę i stawia ją natychmiast w tem samem miejscu. Nie... nie... pomylił się. To nie ta! To gorsza! Podnosi tedy drugą, lecz jeszcze szybciej spuszcza ją z głośnem syknieniem. Co u dyaska! Czy to nie tamta? Czyżby ta właśnie była gorsza?

Interesowani marszczą się i milczą. Galerya, która, z ławek powstawszy, podeszła do balasków zaczyna się śmiać głośno.

— Dalej! Dalej! — wołają. — Maszerować Maszerować, stary!

Pan radca surowo spogląda na śmiejącą się galeryę, poczem, zwrócony do starego, mówi z odcieniem niecierpliwości:

— Czegóż stoisz? Rusz-że się z kąta!

Kuntz Wunderli uśmiecha się nieśmiało, boleśnie. Zaraz, zaraz... Naturalnie! Czegóż on stoi? Zaraz się ruszy... Zaraz...

I nagle, zebrawszy siły, podnosi głowę, wytrzeszcza spłowiałe oczy, wyciąga, jak żóraw, szyję, prostuje się,

przyciska rękami kolana i ku drzwiom maszerować zaczyna.

Jest to widok tak pocieszny, że całe zgromadzenie wybucha głośnym śmiechem. Stojący bliżej przy ławach padają na nie, chwytając się za boki, pan radca zasłania usta trzymaną w ręku ustawą, a woźny odwraca się do kąta i parska w kułak.

— Dobry! Dobry! — wołają głosy z ławek.

— Dalej! Dalej! — odpowiadają inne.

Stary idzie. Sztywne jego nogi nie zginają się wcale; podnosi on je, jak kije, z niezmiernym wysiłkiem, i opuszcza na dół, rozpaczliwie przyciskając rękoma chore i obrzmiałe kolana. Tymczasem, jakby na złość, sala wydłuża się, rośnie, drzwi uciekają kędyś, ściany nabierają przeraźliwej głębi; staremu Kuntzowi zdaje się, że nigdy, nigdy nie zdoła dojść aż do nich... Czuje wszakże, iż wszyscy ci ludzie na niego patrzą, że gmina patrzy. Zaciska tedy zęby i znów podnosi sztywną i ciężką nogę.

Nagle staje i szeroko otwiera osłupiałe oczy. U drzwi, w gromadzie głów ludzkich, widzi głowę syna.

Tego się nie spodziewał. Nie, nie! Tego nie...

Ciemna czerwoność bucha mu na twarz resztką krwi z pod serca.

Nie słyszy śmiechu ludzkiego, nie słyszy nawet głosu pana radcy, który go na miejsce woła. Widzi tylko syna.

Jak urzeczony, patrzy na niego i zaczyna drżeć, jak na wielkiem, wielkiem zimnie; wszystkie jego stare kości dygocą. Struchlała twarz blednie bieleje, staje się biała, bardzo, bardzo biała. Na czole rysuje się dziwnie twarda i surowa brózdka; oczy jego zapalają się i gasną. Niepocieszone, martwe, stroskane, z dziwem i strachem patrzą się w twarz syna. Nie, nie, on nie chce, żeby go syn licytował w gminie... On nie chce!

Kurczy się, odrywa ręce od kolan i zastawia się niemi. Nie, nie! On się boi! On nie chce!

Ale woźny przystępuje i bierze go za ramię.

— Co u dyabła? Czego stoi, jak głupi? Czy nie widzi, że urząd czeka? Dalej naprzód!

Stary Wunderli jest wszakże w tej chwili tak słaby, ale to tak słaby, jak dziecko. Prostu ruszyć się nie może. Nogi mu się płaczą, zęby szczękają, głowa się chwieje, jak ten liść jesienny. Woźny popycha go przed sobą, a także podtrzymuje nieznacznie. Gdyby go nie przytrzymał, stary padłby może. W duchu nie ma on wielkiej nadziei, żeby starego gmina łatwo pozbyć się mogła. Teraz widzi, że i brzytwa, i chustka, i kubrak — tak jak na nic... Zupełnie jak na nic.

— Prędzej! — woła niecierpliwie pan radca.

Kuntz Wunderli opamiętywa się jakoś i znów staje na poprzednim miejscu. Jest ono dobrze wybranem. Z szeroko otwartego na ogród okna pada na nędzarza pełne, złote światło. W świetle tem zmartwiała twarz starego nabiera nieco życia. Na łysej jego czaszce igra odbłask cichej i modrej pogody. Osłupiałe źrenice podnoszą się i zawieszają kędyś daleko, na szerokim słonecznym błękitcie.

— Kto wie? Może i nieźle byłoby, żeby się syn utrzymał. Kto wie? Synowa zła i skąpa, to prawda. Ale umarłby wśród swoich przynajmniej I wnuki... widziałby codzień wnuki...

Źrenice starego wilgotnieją, stają się miękkie i rzewne; na ustach drży jakieś nie wymówione słowo, wielka surowa zmarszczka na czole wygładza się i znika.

Stanowczo nie wygląda w tej chwili na więcej, jak na siedmdziesiąt cztery. To ożywia nieco interesowanych.

— Nie tęgi w nogach! — mówi, kręcąc głową, piekarz Lorche.

— Co to nie tęgi! — prostuje ktoś z ławy.

— On nas jeszcze wszystkich przeskoczy! — dodaje inny.

— Zuch stary! — woła trzeci.

— Jakże myślicie, szwagrze? — pyta półgłosem [Tödi-Mayer](#) swojego sąsiada.

- A cóż? — jabym brał. — Kiepski w nogach, ale w warsztacie posłuży.
- Anibym na to chuchro nie spojrział — mówi Dödöli — gdyby tu był inny.
- A co? W domu i to się przyda — perswaduje^[25] Kissling.

Pan radca bystrem okiem po obecnych wodzi. Chwila wydaje mu się odpowiednią do zagajenia licytacji. I tak sprawa ta przeciągnęła się nad miarę dzisiaj. Za dużo było ciekawych.

Dobywa zegarek, podnosi go blisko do oczu, porównywa ze ściennym zegarem gminy i, skinąwszy na woźnego, rzecze pełnym inicjatywy^[26] głosem:

— Moi panowie, kończmy! Kandydat, przedstawiony wam przez sekcję dobroczynności gminy, ze wszech miar zasługuje na waszą uwagę. Zdrow jest, niezbyt podeszły w latach, siły dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać się w domu może. Kto z panów reflektuje^[27]. I z jaką dopłatą?

Cisza nastaje po tych słowach pana radcy. Jaki taki liczy się z potrzebą posługi i z groszem.

Sprüngli porusza się i przestępuje z nogi na nogę. Zauważył to pan radca i, skłaniając się uprzejmie w stronę powroźnika, rzecze:

— Moi panowie, pan Sprüngli zaczyna. Panie Sprüngli, prosimy! Jakiej dopłaty żądałbyś pan od gminy za przyjęcie w dom swój kandydata?

— Dwieście franków!^[28] — rzecze powroźnik i urywa, niepewny, czy nie zażądał zbyt mało.

— Co? Dwie-ście fran-ków? — pyta, udając zdumienie, pan radca. Poczem zatrzymuje się na chwilę. — Moi panowie! Nic nie byłoby dla mnie miłszego nad taki stan finansów gminy, któryby sekcyi jej dobroczynności pozwalał na podobnie kolosalne wydatki. Gdy jednak tak nie jest, musimy to uwzględnić, i stawiać przystępniejsze cyfry. Namyślcie się, panie Sprüngli? Jakże, moi panowie? Widzieliście panowie zęby kandydata? To człowiek silny jeszcze!

— I cóż tam, zęby! — odzywa się oberżysta z Mainau. — To gorzej jeszcze, że zdrowe! Jak się stary rozje, to go nie natkam, a do roboty nie stanie.

— Oho! Niema biedy! Już my go napędzimy! — mówi Kägi, mrugając zezowatem okiem.

— Ja? — obrusza się oberżysta. — Ja na dziecko nie zakrzywię palca!

— No, no! — odpiera Kägi. — Potraficie w parobka orać!

— Wy co? Czy to ja Probst jestem?

Roześmieli się obaj.

— Kto tam wie, czy i Probst winien! — rzecze Kissling. Dziad napijał się może...

— Jako żywo! Nikt go pijanym nie widział — zaprzecza Lorche.

— Ale to tam nie Probst robotą, tylko żony! Żona jęcza... — odzywa się głos z ławy.

— Baba z pod ciemnej gwiazdy! — dorzuca ktoś z kąta.

— Jak było, tak było — mówi Sprüngli — dość, że się stary Hänzli u niego powiesił...

— Musiało mu być słodko.

— Jakto? — woła rzeźnik Wettinger. — To ja takiego będę żywił, odziewał, dach mu nad głową dawał, za ten marny grosz z gminy, a do roboty nie będzie mi go wolno napędzić?

— No tak... Ale zawsze...

— Moi panowie — przerywa pan radca — przystępujemy do ukończenia tej sprawy. Czas urzędowych osób jest ograniczony. Pan Sprüngli podał dwieście franków. Kto z panów licytuje in minus?^[29]

Cisza.

— Kto z panów licytuje? — pyta ponownie pan radca. — Panie Sprüngli, namyślcie się, proszę.

— Jużem się namyślił. — rzecze Sprüngli. Mniej nie mogę, niżli dwieście franków.

Pan radca odwraca się od niego.

— Kto licytuje, panowie? Kto licytuje?

— Sto ośmdziesiąt pięć wezmę! — mówi zwolna, cedząc zgłoski, piekarz Lorche. — Ale niech przynajmniej tę zimę w ubraniu swoim chodzi. U mnie ciepło.

Stary Wunderli spogląda po sobie najpierw, potem po sali i nagle drżeć zaczyna. Wydaje mu się, że mróz już mu kości sięga. W swoim ubraniu? Cóż on za ubranie ma? Alboż on na ubranie zarobić mógł grosz jaki? Na chleb zaledwie mógł zarobić, a i to z ciężkością. Bluzę płócienną ma, łataną bluzę tylko. Jak tu zimę w tem przebyć? Co to za ubranie?...

— Sto ośmdziesiąt z tym samym warunkiem! — odzywa się grubym głosem Dödöli, właściciel winnicy.

— Z tym samym warunkiem? — myśli stary Kuntz, a nędzne jego nogi dygocą coraz silniej. Miłosierny Boże! Po cóż tu jakie warunki? Wszak stoi tu, jak ten Łazarz, przed ludźmi... Cóż tu za warunki?...

Po oświadczeniu Dödölego znów się cicho robi. Pan radca stoi, jak na szpilkach.

Chwilę bawi się koralowym brelokiem, poczem, zmuszając się do uprzejmego tonu, mówi:

— Dalej, moi panowie! Dalej! Kto licytuje?

— Sto siedmdziesiąt i pięć! — mówi dobitnie Tödi-Mayer. Potrzeba mu na gwałt parobka. Robota aż kipi w domu.

— Sto sześćdziesiąt! — woła ktoś nagle z kąta.

Obejrzano się: nie dowierzano sobie. Zazwyczaj opuszczano po pięć franków, po siedm zresztą. Ale żeby kto o piętnaście odrazu mniej chciał brać, tego przykładu nie było.

Sam pan radca spogląda ciekawie w kąt sali; stary Kuntz także podnosi głowę i patrzy.

Z boku nieco, bliżej drzwi, poza ramionami licytantów, u balasków, rozparty stoi syn jego, z krótką fajką w zębach. Za rękę trzyma najmłodszego chłopca.

Stary otwiera usta i patrzy z mieszaniną strachu i nadziei.

Syn przeciska się do balasków, wyjmując fajkę i w pierwszym rzędzie staje z podniesioną głową. Nikt mu tego za złe nie bierze.

Dzieciaków gromadę ma, sam ciężko pracować musi. Jedną gęba więcej u miski, to duża rzecz tam, gdzie i ci, co do niej siedli, nie zawsze się najedzą. Trzymać ojca darmo nie może. Bóg widzi, jako nie może! Ale z tem, co gmina doda — spróbuje. Nie wymaga wiele. Odrazu trzy razy tyle opuszcza, co ktokolwiek z obcych. Zarabiać na gminie i na starym nie chce. Niech tylko mu się własny grosz, choćby i nie cały, powróci.

Wszyscy to rozumieją doskonale; każdyby z nich zrobił to samo. Człowiek się, tak jak każda rzecz, zużywa, a zużyty cięży. Kto na to ma, może i dziada żywić, a nie dopiero ojca; ale kto nie ma na to, jużci kraść nie pójdzie. Jest to rzecz jasna, jak słońce.

A jednak od tej rzeczy jasnej, jak słońce, pada jakiś posępny cień na wszystkie czoła. Ludzie bokami patrzą, jakby nie chcieli, nie mogli spojrzeć sobie oko w oko. Cisza trwa dłużej, niż zwykle. W ciszy tej słychać ciężkie, do jęku podobne, westchnienie starego Kuntza.

Pan radca bystro pogląda po ludziach. Widocznie syn się utrzyma.

— A więc, moi panowie — zagaja, przemilczawszy nieco — a więc, utrzymuje się ostatnia oferta^[30]. — Sto sześćdziesiąt franków! Cieszy mnie, bardzo mnie cieszy.

Tu urwał. Właściwie, nie wie, co go tu ma cieszyć. Tego, iż cieszy się, że sobie wszyscy raz do licha pójdą, nie może im przecież tak w oczy powiedzieć.

Ale przemowa ta okazuje się przedwczesną.

— Sto pięćdziesiąt i pięć! — podbija syna Tödi-Mayer i ociera czerwoną bawełnicą szerokie, spocone czoło. Syn cofa się w milczeniu od balasków i rozdmuchuje przygaszoną fajkę. Ale dziecko, które za rękę trzymał, spostrzega w tej chwili starego:

— Dziaduś! Dziaduś! — woła cienkim, przenikliwym głosem.

Stary wnuka nie widzi, słyszy go tylko; rzewny uśmiech rozszerza jego zwiędłe wargi. Potrząsa radośnie głową i robi ruch taki, jakby brał tabakę. Idzie to jakoś, dzięki Bogu, idzie. Wszystko jeszcze może być dobrze! Wszystko może być dobrze.

— Sto pięćdziesiąt! — woła syn.

Ale Tödi-Mayer ustąpić nie myśli. Zaperzył się; był z tych, którzy się rozpalają do każdej stawki. Cóż syn? Syn go mógł darmo trzymać. Za pieniądze gminy każdy teraz dobry, każdy ma prawo.

— Sto czterdzieści i pięć! — woła podniesionym głosem.

Syn przechyla głowę i patrzy na Tödi-Mayera z wysoka, lekko zmrużonemi oczyma.

Namyśla się chwilę, po czym macha obojętnie ręką. Nie może ryzykować więcej. Zrobił, co do niego należało, ale ryzykować nie może. Jego czarna, o prostych włosach głowa i twarz kwadratowa, drewniana cofa się z szeregu, a wysoka, koścista, nieco pochylona postać posuwa się ku drzwiom wskroś ciżby.

Stary patrzy za nim. Jest niespokojny, otwiera usta i wyciąga szyję, lewa powieka zaczyna mu drgać nerwowo. Wygląda teraz staro, bardzo staro. Tödi-Mayer miarkuje, że nieświeży zrobił interes, i szepce z kumem Spenglerem.

Tymczasem pan radca uderza dłonią w biurko przy którym stoi.

— A zatem — odzywa się dźwięcznym, jasnym głosem — sto czterdzieści i pięć franków! Po pierwsze... po...

— Za pozwoleniem! — przerywa nagle Tödi-Mayer. — Czy tylko jopa należy istotnie do starego?

Pan radca marszczy piękne, gładkie czoło.

— To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy! — rzecze z godnością, a woźny odwraca się do kąta i kaszle głośno.

— Jakto nie może? — ujmuje się za sąsiadem Spengler. — Gmina musi wiedzieć, co daje, a ten, kto bierze, musi wiedzieć, co bierze. To jasne!

— Jopa twoja? — pyta Tödi-Mayer, zwracając się bezpośrednio do starego Kuntza.

Ale stary Kuntz nie słyszy.

Lewa jego powieka drży coraz silniej, spojrzenie słupieje. Widzi, jak syn oddala się i jak we drzwiach znika. W chwilę potem widzi go jeszcze przez otwarte okno i słyszy szczebiot dziecka: Idą... Przeszli.

Stary opuszcza głowę i trzęsie nią w milczeniu. Potem ściska powieki z całej, z całej siły.

Coś mu żre oczy; słonego coś, gorzkiego... Żre i pali...

— Słyszysz, stary? — powtarza Tödi-Mayer głośniejszym głosem. — Pożyczył ci kto jopy, czy własna?

Usłyszał wreszcie. Miesza się, spogląda po sobie, zaczyna szybko mrugać czerwonymi oczyma i rzuca ukradkiem spojrzenia w kąt, gdzie woźny stoi.

Tödi-Mayer uderza pięścią w balaski.

— Ależ to oszukaństwo! — wybucha gniewnie.

— Tak! Tak! — odzywa się kilka naraz głosów.

Szmer rośnie w sali; oburzenie udziela się wszystkim.

— Człowiek ma miłosierdzie — woła Tödi-Mayer, szeroko rozkładając wielkie czerwone ręce — bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, ale chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

— Tak! Tak! — potwierdza więcej jeszcze głosów. Ponad wszystkimi słychać głos Spenglera. Na twarz pana

radcy bucha płomień gniewu.

— Ściągaj kurtę! — krzyczy na starego, a Kuntz Wunderli z pośpiechem rozpinać ją zaczyna.

Nie idzie to łatwo. Ręce mu się trzęsą, pokurczone palce nie trafiają do guzików odrazu; staremu pomaga woźny, ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy, czuje się on niemal tak samo dotkniętym, jak radca.

— Kapuściana głowa! Niedołęga! — szepcze przyciszonym, zirytowanym^[31] głosem, szarpiąc na przemiany to jeden, to drugi rękaw nieszczęsnej kurty, po której zdjęciu okazuje się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łątaną koszulą i szczętami letniej kamizelki.

Stary Wunderli drży silnie, częścią z chłodu, a częścią ze strachu. Wydało się... Co teraz będzie? Wszystko się wydało...

W niezmiernem pomieszczeniu podnosi do szyi obie trzęsące się ręce i usiłuje rozplątać misternie^[32] przez woźnego zadzierzgnięty fontaż.

— I chustka nie twoja? — krzyczy Tödi-Mayer, zdjęty ostatnią pasją w swem rozczarowaniu.

— Nie moja... — odpowiada ledwie słyszalnym szeptem Kuntz Wunderli.

Woźny wyszarpuje mu ją z ręki.

— Kapuściana... ośla... barania głowa! — mówi przez zęby z naciskiem.

Historia z chustką więcej go jeszcze gniewa, niżli historia z kubrakiem. Inicjatorem^[33] pożyczki kubraka nie był sam: podsunął ją mimochodem pan radca, zważywszy, iż kandydat był zbyt źle odziany, aby się mógł pokazać w urzędowej części sali.

Ale chustka! Chustka była własnym pomysłem woźnego. Sam ją wiązał, włożył w wiązanie to coś z artystycznych instynktów^[34] swoich, coś z własnej duszy... Zdejmowanie jej nie było zresztą rzeczą konieczną, nikt chustki nie podejrzewał, nikt nie pytał o nią. Rozdrażnienie woźnego jest tak wielkie, iż, zmiąwszy ten niebieski bawelniany szmatek w obu rękach, ciska go ze wstrętem pod wieszadło, u drzwi stojące. Nie może w tej chwili dać dobitniejszego wyrazu oburzeniu swemu i swej wielkiej wzdargzie.

Ale Kuntz Wunderli stoi tymczasem przed publicznością zawstydzony, zgnębiony, odarty z uroku. Teraz dopiero można się przypatrzeć jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadając się zdaje, teraz można widzieć jego wykręcone, ciężkie stopy i jasnościste łokcie. Najzabawniejsze wszakże wrażenie robi szyja starego. Jest ona tak cienka, że zdaje się, biczem przetrzasnąłby ją można. Wogóle czyni ona starego podobnym do oskubanego ptaka; a to tem bardziej, że nie podparta sztywnym fontaziem głowa wydaje się, przy tej cienkiej, zwiedłej szyi, niepomrotnie wielka i ciężka. Opada to na jedną, to na drugą, głęboko zakłęśłą jamę obojczyka.

Wesołość teraz wybucha na sali, jedni śmieją się dobrodusznie, drudzy złośliwie, poglądając przytem na Tödi-Mayera. Najlitościwsi kiwają głowami i uśmiechają się zlekka.

— *Ecce homo!*^[35] — odzywa się kotlarz Kissling, który ma brata dozorcą w kantonalnej^[36] bibliotece i darmo czytuje książki.

Szeroki wybuch śmiechu przyjmuje to porównanie. Większość mniema, iż jest to przymówka do szczytu, wnoszącego się poza Mythenami, Dużym i Małym, który się »*Ecce homo*« zowie, w przeciwieństwie do sękatego Pilatusa^[37]; w zgromadzeniu są tacy, którzy górę tę widzieli zblizka.

Stary nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do jakiegokolwiek szczytu, ale jest to tem śmieszniejsze... Dalibóg, tem śmieszniejsze!

Jeden Tödi-Mayer nie bierze udziału w ogólnej wesołości. Okrągłe jego, wypukłe i błyszczące oczy obiegają postać starego nędzarza, jakgdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczyma temi świdruje go, jak fałszywy szeląg^[38], roztrząsa, jak stary łachman, przenika go do ostatniej żyłki, do resztki tchu w piersiach.

— Cofam słowo! — woła wreszcie. — Nie mogę brać tak mało!

— Nie wolno słowa cofać! — rzecze z powagą pan radca.

— Jakto nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze.

— Nie przybił! Nie przybił! — potwierdzają głosy z ławy, poczem ucisza się nagle.

Wszyscy czekają, jaki obrót sprawa weźmie. Pan radca jest niekontent. Rzuca on na obecnych chmurne spojrzenia z pod oka, marszczy piękne czoło i ciągnie na dół to jednego, to drugiego wąsa.

— W takich łaćmanach nie wezmę dziada i za sto ośmdziesiąt franków! — woła rezolutnie Tödi-Mayer, czując za sobą zgodę całej sali.

— Jabym nie brał i za dwieście — popiera go kum Spengler.

— Co to dwieście! To i dwieście dziesięć nie byłoby nadto! — dodaje oberżysta z Mainau.

Stary Wunderli słucha tego, i dusza w nim truchleje. Co to będzie? Co to jeszcze z nim będzie? A to może nikt i wziąć nie zechce? A potem, dlaczego tyle aż chcą brać? Dlaczego aż tyle?...

Wielki niepokój i wielkie zdumienie odbija się w jego nędznej twarzy. Coraz wyżej podnosi brwi siwe, patrząc w ziemię, a głowa coraz szybszym ruchem opada mu to na jedno, to na drugie ramię.

— No, panie Tödi-Mayer! — odzywa się urzędnik pojednawczo. — Nie rób pan żartów, i kończmy, moi panowie!

— Dobrze! — woła energicznie^[39] ślusarz — wezmę, ale za równe dwieście!

— Co znowu! Co znowu! — odzywa się, tracąc cierpliwość, pan radca. Skąd gmina może takie sumy płacić? Czy panowie myślicie, że gmina siedzi na złocie? Moi panowie, gmina nie siedzi na złocie! Gmina musi się liczyć z groszem. Gmina ma wydatki, duże wydatki! Miłosierdzie, moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą, ale i w miłosierdziu miarę zachować należy!

Jeszcze pan Radca nie domówił ostatniej sylaby^[40], kiedy drzwi otwierają się szeroko i wchodzi Probst. Jest to tęgą mężczyzną z grubym karkiem i szeroką, czerwoną twarzą. Jego brunatny, rozpięty spencer pokazuje pierś potężnie rozrosłą i kołyszący się na niej łańcuszek ze srebrnych ogniwek. Z pod niskiego, tłustego czoła świecą małe, bystre oczy; rudawe kędzierzawe włosy zarastają mu głęboko skronie. Probst idzie śmiało i macha wielkimi rękami, które mu po bokach wiszą, zaciśnięte w kulak; miejsca sobie wszakże robić bynajmniej nie potrzebuje, gdyż każdy usuwa się przed nim z pewnym rodzajem respektu^[41]. Człowiek jest silny, tęgą, ma spojrzenie ponure i zuchwałe. Z takim nie zaczynać lepiej. Probst dochodzi do balasków, kłania się urzędnikowi i kiwnięciem głowy pozdrawia kilku obecnych.

Pan radca wybaczyć mu zechce... Spóźnił się, ale nie winien temu. Ten przekłety parobek, którego po starym Hänzlim wziął, rozchorował mu się, jak na złość... Sam dziś mleko rozwozić musiał, a to piekielny kawał, z góry i pod górę.

Pan Radca słucha, przytakując; pozdrowieni uśmiechają się życzliwie i kręcą głowami.

Sam rozwozić musiał?... No, no! Kawał drogi!

Przez otwarte okno słysząc głośnie naszczekiwanie psa, którego wszyscy znają; trzy razy dziennie przybywa on z mlekiem, zaprzężony do wózka, pełnego wysokich blaszanek. Probst piękną oborę ma... Piękną oborę!

I nagle przejmują ich uczucie poważania dla tych tęgich pięści i grubego karku. Spengler odwraca się od Tödi-Mayera i na Probsta patrzy; ślusarz czuje się już przez samo przybycie mleczarza jakby na pół pobitym. Patrzy to na jednego, to na drugiego z obecnych niby obojętnie; w rzeczy samej żał mu, że targu nie przybił. A no, da się to widzieć, co będzie!

Ale Probst czasu nie traci. Opiera się ściśniętą pięścią o balaski, wyciąga grubą szyję i, skubiąc żółto zarastający podbródek, zmruża bure oczy i celuje niemi w starego, jak wylotem fuzyi.

Kissling i Dödöli trącają się łokciami.

— Jak ten patrzy! Jak ten bestya patrzy! Toć, chwała Bogu, każdy oczy ma, a nikt tak niemi człowieka nie umie nawskroś brać! Ten się zna! No, już ten się zna!

Tymczasem izba przybiera całkiem inny pozór. Czują wszyscy, że przybył koneser^[42]. Twarze się ożywiają, ci, co siedzieli na ławie, powstają i przystępują bliżej. Chwila zaczyna być naprawdę interesującą. Ale Kuntz Wunderli na widok Probsta porusza się niespokojnie, nerwowo. Wie on, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach powiesił się u Probsta na strychu; pamięta, jak Probstowa po nim sprzedawała buty. Pamięta też, jak stary Hänzli obtarte miał od szlej^[43] ramiona, i jak mu u Probsta oczy zapadły, a twarz szerniała i wyschła. Kurczy się stary, głowę w ramiona chowa, przyciska do boków kościste łokcie, staje się małym, bardzo małym, tak małym, że go i niewiele widać chyba. Co prawda, radby się pod ziemię całkiem, całkiem schować. Boi się tchnąć, boi się poruszyć, nawet kolana, z wielkiego natężenia, dygotać mu przestały.

Ale Probst zna się na tem wszystkim dobrze. Licytuje przecież tych hultajów od sześciu, czy siedmiu lat w gminie. Wie on, że taka starota to jak pęknięty garnek: odrutuj, a czasem i za nowy trwa. Bądź co bądź, najtańszy to robotnik, jakiego znaleźć można. Czy złością, czy dobrocią zawsze się z niego tyle roboty wycisnie, ile zje, a co gmina doda, to jakby znalazł.

Sarkają ludzie, że cenę innym psuje. A co mu tam, byle sobie nie psuł. Niech każdy pilnuje swego i już.

Przekrzywia tedy Probst w jedną stronę ciężką swoją, płaską głowę, przekrzywia w drugą, a potem, spojrzawszy bystro w twarz urzędnika, rzecze silnym, dobitnym głosem:

— Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołują silne wrażenie. Najobojętniejsi nawet kręcą głowami z podziwu. Daj go katu! A to i nie spyta, co kto święci, tylko swoją kozerą^[44] wali z góry, jak armatnią kulą!

W sali robi się wielka cisza, w którą wpada natarczywe, zajadłe szczekanie psa, pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku. Stary Wunderli ogląda na lewo i na prawo, jakby szukał okiem, którędy ma uciec. Nie ucieka wszakże: stoi, jakby skamieniał, jakby wrosł w podłogę. Tylko coraz niżej opada mu dolna szczeka, a oczy otwierają się coraz szerzej.

— Sto dwadzieścia i pięć! — woła Probst raz jeszcze.

Pan radca promienieje. Chwilę wodzi po obecnych ożywionym wzrokiem, a gdy nikt nie podbija mleczarza, uderza białą ręką w leżące przed nim papiery i daje znak woźnemu.

— Po raz pierwszy! — mówi woźny, stukając laską w ziemię, i ucicha.

— Po raz drugi! — mówi głośniejsze jeszcze, a stary Kuntz Wunderli zmruża nagle oczy i kurczy się boleśnie, jakby kij, przybijający dzieło miłosierdzia gminy, w niego miał uderzyć.

— I-po-raz-trzeci! — woła razem z woźnym tryumfujący pan radca.

W chwilę potem Kuntz Wunderli stoi u dyszla mleczarskiego wózka, trzęsąc swą nędzną, starą, siwą głową i usiłując drżącymi rękami przełożyć przez siebie parcianą^[45] szleję. Z drugiej strony dyszla rzuca się w podskokach silny kudłaty pies w takiejże uprzęży, ujadając głośno, donośnie.

[1] Rzecz dzieje się w Szwajcaryi.

[2] Gatunek psa.

[3] Potwór podaniowy, lew z głową kobiety.

[4] Klony.

[5] Przód, przednia część budowli.

- [6] Słupy.
[7] Głowice, górne części.
[8] Sprawdzając.
[9] Kurtki.
[10] Tkanina bawełniana.
[11] Poręcz, przegroda.
[12] T. j. posłużyć.
[13] T. j. umarł.
[14] Kamlot — tkanina lekka z wełny albo jedwabiu.
[15] Sekcja — oddział.
[16] Wziętość.
[17] Pulpit — podstawka do kładzenia książek, nut i t. p.; wierzchnia pochyła deska biurka, ławki i t. p.
[18] Zwrot mowy.
[19] Rama drzwi.
[20] Materya jedwabna, tutaj: chustka jedwabna.
[21] Przebiegły, chytry.
[22] Węzeł.
[23] Pesymista — człowiek, skłonny widzieć wszystko w czarnych kolorach.
[24] T. j. widzów.
[25] Tłumaczy.
[26] Inicjatywy — rozpoczęcie, otwarcie czego, wystąpienie z projektem.
[27] T. j. zgłasza się do czegoś, podejmuje się czegoś.
[28] Frank — moneta francuska (także szwajcarska) wartości 38 kop.
[29] T. j. godzi się na niższą cenę (łac.).
[30] Oferta — zaofiarowanie (np. jakiejś ceny).
[31] Gniewnym.
[32] Sztucznie.
[33] Inicjator — ten, kto daje pierwszą myśl czegoś.
[34] Instynkt — poczucie bezwiedne.
[35] Oto człowiek (łac.).
[36] Kanton — część administracyjna Szwajcarii, prowincja.
[37] Szczyt w Szwajcarii; *ecce homo* — wyrzekł o Chrystusie Pilat (po łac. Pilatus).
[38] Drobną monetą polską (grosz — 3 szelągom), potem wogóle drobna moneta.
[39] Z mocą.
[40] Zgłoski.
[41] Szacunku.
[42] Znawca.
[43] Szleja, szła, szelka — pas, rzemień do uprzęży.
[44] Kozera — atut (w kartach).
[45] Z płótna grubego domowej roboty, zgrzebną.
-

UWAGI DO WYDANIA ELEKTRONICZNEGO

Zachowano oryginalną ortografię i interpunkcję, również w wypadkach, gdy odbiegały one od współcześnie przyjętych. Poprawiono natomiast wymienionymi niżej omyłki, które wyglądały na błędy drukarskie:

właściciel => [właściciel](#)
im ę => [imię](#)
Todi-Mayer => [Tödi-Mayer](#)
nzleżało => [należało](#)

[The end of *Miłosierdzie gminy* by Maria Konopnicka]